

Zofia Romanowiczowa

# SKRYTKI

połowie  
Anna Jamrozek-Sowa



## I

**Nieoczekiwana** wizyta zakłóciła spokojny nurt ich niedzieli. Wolnej niedzieli. Nasłuchiwali. Pomiędzy odejściem młodej pary a trzaśnięciem bramy na dole mijało dziwnie dużo czasu. Razem myśleli – po co aż mówić? – czemu tamci tak długo marudzą na schodach?

Podeszła do okna, tego od ulicy. Uchyliła firankę. Ubiegła go.

– Ależ chłopak peroruje! Jak gdyby oprowadzał całą wycieczkę. Jednak ją interesuje głównie nasza brama...

Niczym specjalnym brama ich kamienicy się nie odznaczała. Może ta głowa nad nią, kamienna, o pustych oczach i warkoczu upiętym w koronę? Takich głów pełno było jednak nad bramami kamienic w ich dzielnicy.

– Zostaw. To głupio, tak za kimś wyglądać. Gotowi za-uważyc i co sobie pomyslą?

Ale nie mógł się powstrzymać, by także nie rzucić na dół okiem. Młoda para zaglądała teraz do przeciwległego domu. Pokraczne kundły tamtejszej stróżki, wspinając się przednimi łapami na balustradę parterowego balkoniku, podniosły jazgot.

– Czy to była ta sama stróżka, wtedy?

– Ta sama. Psy chyba inne. Psy żyją krócej...

I równocześnie wycofali się w głąb pokoju, odepchnięci dziwnym uczuciem, że tam, na dole, w tej samej chwili, padło to samo pytanie, otrzymując identyczną odpowiedź.

– Myślisz, że oni się pobiorą?

– Pewno tak. Bo co?

– Bo ja tam myślę, że nie. Gdy powiedziałaś: „pańska żona”, on zaprotestował, i to jak energicznie! Nie ona.

– O co ci chodzi? Czy to nie wszystko jedno?

Prysnęła bańka słów, właściwie zbytecznych. Od lat tak wyglądały ich rozmowy. Parę zdań zamienionych półgłosem, parę wierzchnich słów, i zaraz równoległa cisza, równoległe milczenie. Bo gdy któreś znowu otworzyło usta, okazywało się, że myślą o tym samym, para nurków znoszonych jednym prądem, równocześnie wypływających na powierzchnię dla zaczerpnięcia oddechu.

– Ona jest w ciąży – orzekła, sprzątając z niskiego stolika.

Tak, to było to. Dziewczyna nie chciała alkoholu, piła sok. Nie żeby już coś było po niej widać, gdy siedziała obok chłopca w luźnym swetrze wyrzuconym na dżinsy, drobna i szara. Brzydka. Właśnie, ta brzydota, jakby nie własna, jakby tymczasowo nałożona maska, pogrubiająca rysy. I oczy. Coś sennego, coś roztargnionego w spojrzeniu, które jednak równocześnie myszkowało po kątach sposobem samiczki rozglądającej się, gdzie by tu zlec.

Chłopiec szukał śladów, porównywał to, co zastał u nich, z tym, co mu zostało w pamięci. Dziewczyna kombinowała, jakby jej, im mogło tu być. We dwoje czy

we troje. W pewnym momencie zabrała się nawet do otwierania na własną rękę drzwi ściennej szafy. Jej towarzysz aż syknął na nią. Słusznie, to już było zbyt bezceremonialne.

W ogóle chłopiec wydawał się bardziej speszony sytuacją, podenerwowany. Dla dziewczyny nie dość grzeczny, według ich staroświeckiego zdania. Jakby w jakimś z nią konflikcie. W stosunku do nich, gospodarzy, także dziwny. Uprzejmy, tak. No, łatwo mogliby być jego rodzicami. Ale to było tak, jakby chłopiec miał na końcu języka coś, co go jątrzyło, a czego nie śmiał powiedzieć. O coś zapytać?

– On by tu nigdy nie wszedł, gdyby nie ona.

– Myślisz?

– Nie myślę. Wiem.

Naprawdę wiedziała. Mogłaby odtworzyć całą scenę. Niedzielny spacer przywiódł młodą parę tutaj, w ich strony, całkiem albo nie całkiem przypadkowo. Może chłopiec chciał pokazać dziewczynie dzielnicę związaną z jego dzieciństwem? – To tutaj – powiedział – ta ulica, ten dom. Ta brama. Tu mieszkali moi dziadkowie. Ale samemu nigdy by mu nie przyszło do głowy, by wejść. Wtedy ona wzięła go za rękę i wciągnęła na schody. – Czego się boisz, co się może stać? Zobaczymy, kto tam teraz mieszka, jak tam teraz jest. Najwyżej nas nie wpuszczą. A może w ogóle nie ma nikogo? W niedzielę? Po południu?

I to ona, z pewnością ona, nacisnęła guzik dzwonka, przesądzając sprawę.

Kundle stróżki uspokoiły się. Cisza popołudniowa, niedzielna, zapadła na ulicy i tylko z dołu doszedł tym wyraźniej odgłos salw, seriami, i kwik koni, galopada westernu z telewizji sąsiadów. Lampy pozapalane wszędzie na intencję gości sztucznie przyspieszały wieczór. Gasiła je po kolei. Ustawiając z powrotem w niszczymy umyte szklanki, zobaczyła, że mąż stoi na środku pokoju i rozgląda się, jakby też dopiero co przyszedł tu z wizytą. Na zwiady.

– Jemu się pomyliło. Te drzwi były jednak tutaj, w samym kącie. Popatrz, rysa przebija spod farby w miejscu, gdzieśmy je zamurowali. Nawet na logikę nie mogło być aż dwojga drzwi do kuchni na tej samej ścianie.

– A czy mogło być aż dwoje drzwi do łazienki, też na jednej ścianie?

Wyglądała kanapę, podniosła jakiś orzeszek z dywanu. Już nie było śladu, że tu ktoś siedział, coś jadł, coś pił. Para obcych spojrzeń nie dawała się jednak tak łatwo zatrzeć, sprzątnąć.

Nie tylko rysa na ścianie, latami niechcąca zagoić się blizna po zamurowanych drzwiach. Także podłoga, wówczas woskowana na jaśniejszą od słońca przez malutką *madame* Durand.

– Podłogi chyba państwo nie zmieniali? – zapytał chłopiec.

Nie, skądże! Podłoga ta sama. O mało nie uniosła rogu dywanu, żeby mógł się o tym przekonać. Tyle że niewoskowana już, a pokryta werniksem. Pod powłoką mniej kłopotliwego do utrzymania szkliska zachowało

się unerwienie dębowych desek, pewnie tak starych jak dom, meandry wzdłuż których toczyły się kulki agatu. Przez te kiedyś toczone tutaj bitwy agatowe chłopiec zapamiętał sobie pejzaż podłogi, tak jak zapamiętywuje się pejzaże tapet i rys na suficie dzieciennych lat.

I lustro, także to samo. Jedyna rzecz po dawnych właścicielach. Wielkie po sam sufit, w połączonych ramach, o splekanej w drobną siateczkę, niedowidzącej miejscami powierzchni. Państwo Durand, dziadkowie chłopca, nawet im tego lustro nie odsprzedali, tylko niespodziewanie pozostawili po sobie. Pewno nie opłacało im się przewozić go na wieś.

Lustro – to samo – wisiało na tym samym miejscu, nikt go nie ruszył. Za to mogli ręczyć oboje. Być może dziadkowie chłopca także zastali owe lustro tutaj, po dawniejszych jeszcze właścicielach, swoich poprzednikach? Może ono od zawsze tu wisiało, rówieśnik domu, rówieśnik dębowej podłogi, kamiennej głowy nad bramą? Bierny świadek zmian?

Po krótkiej chwili zaskoczenia ulegli odruchowi gościnności. Jednak wnuk państwa Durand... Pozapalali lampy, pooprowadzali młodą parę po wszystkich pokojach, choć łóżko – wstyd! – nie było zasłane, zaś porządek wszędzie względny. Na meblach kurz. Oni oboje w szlafrokach, jak starcy czy rekonwalescenci. Miała ciężki dzień, ciężki tydzień z tą grypą nie grypą, bólem głowy, dreszczami, bez gorączki. On też miał jakieś komplikacje w biurze. Ale to nie kurz, nierozgrzebana pościel krępowwały ją. I jego.

Bardziej krępował ich martwy ład w drugim pokoju, który wciąż nazywali w myślach, bo nie w słowach pokojem małego. Tam najpierw zgasła lampę, gdy tylko młodzi wyszli. Zamknęła tamte drzwi. Rzadko tam zapalali światło, rzadko zaglądali. Ten pokój był, ale jakby go nie było.

Tak jak ich mały. Był, ale nie było go.

Wszystko teraz wróciło do niedzielnej normy. Jedna mała lampka paliła się przy telewizyjnym stoliku. Mogła wrócić do łóżka, dalej kurować swoje przeziębienie. Mógł znowu zasiąść w fotelu i podjąć przerwana lekturę. Istna para emerytów, dla młodych zapewne komiczna. Spędzać niedziele, w szlafrokach, wśród czterech ścian! W oczach niespodziewanych gości musieli wyglądać tak karykaturalnie, jak dla nich samych wygląda zwykle para prawdziwych emerytów z domu Jana, wakacyjnego ich domu, gdy człapiąc i szurając kapciami, w szlafrokach właśnie, zjawiają się rano na werandzie.

Wrócić do książki? Wrócić do łóżka? Zamiast tego snuli się po domu, jak nie u siebie. Rysa na ścianie, słoje podłogi, lustro, co jeszcze? Spojrzenie chłopca zamąciło ich poczucie własności, oczywistość zdomowienia. Niejasne formy poprzedniego tutaj bytowania przebijały od spodu, jak na kliszy, na której ktoś zrobił przez pomyłkę podwójne zdjęcie. Przeszkadzały, domagały się adiustacji.

Było im, jakby nagle nałożyli cudze okulary. Albo jakby przytknęli do ucha muszlę Jana. Coś tu majaczyło, niewidzialne, coś szumiało, niedosłyszalne, coś poruszało się, zapomniane.

Nad kanapą wisiał, w lepszej niż na to zasługiwał ramce, rysunek podarowany im w lecie przez starą nauczycielkę, zwaną przez Jana Picassem z Nîmes. Oczywiście widoczek. Pejzaż, wieża Cezara, droga ku niej prowadząca od domu za skałą, a na pierwszym planie murek werandy i właśnie owa muszla, biała, egzotyczna, na zwykłym swoim miejscu, odrysowana z portretową wiernością.

Dom za skałą... Niedługo tam jadą. Jak co roku, jak co lata.

– Co to jest? – zainteresował się chłopiec.

– Ach, nic takiego. Pamiątka. Prezent od kogoś, kogo stale spotykamy na wakacjach w Sewennach. Widok z werandy, na której tam się jada.

– Państwo wybierają się na wakacje? Kiedy? – zapytali młodzi chórem.

Co za pytanie? Co może obchodzić tych nieznanomych, kiedy i gdzie oni wyjeżdżają? Nawet nie pamiętali, które z nich i jak na to niezwykle pytanie odpowiedziało.

Dziwna jednak wizyta, pełna zaskakujących pytań, gestów, zaskakujących zwierzeń i równie zaskakujących niedomówień. Ale nad czym tu się zastanawiać? Przyszli, pobyli i poszli.

Z irytacją nacisnął guzik telewizji. Tumult pogoni natychmiast zatrząsł pokojem. Konie, cwałujące dotąd piętro niżej, u sąsiadów, czekały tylko na to, by wpaść i do nich szarżą, czy w panice ucieczki. Ale ekran przez chwilę, która wydała im się dłuższa niż zwykle, migał pustką. Nacisnął drugi guzik. Tętent koni zastopował w miejscu,



za to głos hermafrodyty załkał coś o miłości, też na ślepo. Więc nacisnął trzeci guzik, nim zdążyła głośno powiedzieć, że na modnego piosenkarza również nie ma ochoty. Ekran zgasł, zanim cokolwiek zdążyło się na nim zmaterializować, mózg o wyłączonej pamięci, pod kopytami koni zapadła się podłoga, ich tętent dochodził znowu z dołu, stłumiony, jakby sąsiedzi poowijali im teraz kopyta gałganami, tatarskim sposobem.

Zrobiła się prawie cisza. Znowu byli sami. Razem.

– Jeżeli ten chłopak miał wtedy siedem lat, to teraz ma dwadzieścia dwa. Wygląda na więcej.

– Cóż chcesz, z taką brodą...

– A my? – dalej myśleli równoległym nurtem. – Piętnaście lat temu? Jak mogło minąć aż tyle, tak szybko? Jak mogło w tak krótkim czasie aż tyle się stać?

Był w wieku chłopca, dziś, a ona mniej więcej w wieku dziewczyny, kiedy weszli tutaj po raz pierwszy. Z ogłoszenia. Obejrzeć mieszkanie, któreś z rzędu mieszkanie. Przeglądali wtedy rubryki ogłoszeń, biegali pod wszystkie mogące podpaść adresy. Dzwoniąc do tych drzwi, przekraczając ten próg, wcale nie wiedzieli, że to jest właśnie ich dom. Pierwszy prawdziwy dom. I że tutaj to wszystko ich spotka.

Musieli szybko coś znaleźć. Nie mogli dłużej gnieździć się w jednym pokoiku na poddaszu, na placu Palais Royal. Ona była w ciąży. Jak dzisiejsza dziewczyna, jeśli babskie wycucie nie myli.

Państwo Durand przyjęli ich ze starczą skwapliwością. Czy naprawdę byli tacy starzy, jak im się wówczas

wydało? Dziadek oprowadzał ich, zachęcał. Zachwalał spokojną uliczkę, dobrych sąsiadów. O wygodach nie mógł mówić. Żadnych wygod, cienia tak zwanego komfortu, wszystko musieli zainstalować od zera. Ogrzewanie polegało na żelaznym piecyku z rurą wpuszczoną w kominek, węgiel donosił Durand z piwnicy, wiadrem. W łazience umywalnia, owszem, kran z bieżącą jednak wodą, ale zamiast wanny olbrzymia miednica, *tub* w stylu Colette. Obok, na starych, rdzawych kafkach posadzki pieńek z zatknietą weń siekierą, zaskakująco wsiowy. Dziadek Durand rąbał sobie tutaj drwa na podpałkę. Niektóre kafelki przez to ucierpiały. Nie wymienili ich. Pasujących rówieśników trudno było znaleźć na poczekaniu, na zmianę całości nie mogli się zdobyć, są więc do dziś, jak były, spękane. Jeszcze jeden ślad.

Ale jak czysto! Jakie nasłonecznienie! Idealne. Słońce miało wschodzić w oknach kuchni, od podwórza, a zachodzić w oknach dwu pokojów od ulicy. To znaczy w oknie ich sypialni i w oknie pokoju małego.

Za to babcia Durand nie zachwalała niczego. Dreptała za nimi w pewnej odległości, spłoszona ich wizytą, zagrożona mysz, nie wypuszczając z rąk flaneli, z którą ją zastali, jak gdyby chciała trop w trop natychmiast zacierać po nich ślady. Jej w widoczny sposób mniej zależało na sprzedaży mieszkania.

Nic nie świeciło, wtedy, ani od podwórza, ani od ulicy, zmokli, idąc pod ten adres, to pamiętali i pamiętali skwapliwość, z jaką staruszka odebrała im zaraz w progu kapiący parasol. Podłoga!